

# TAJEMNICE ZAMKU



LUCINDA RILEY

# 1

## *Gassin, południe Francji, wiosna 1998 roku*

Emilie poczuła, jak uścisk palców na jej dłoni się rozluźnia. Spojrzała w dół, na matkę. Miała wrażenie, że wraz z duszą opuszczającą ciało Valérie znika też ból, który zniekształcał jej rysy. Emilie mogła znów dostrzec w tej wymizerowanej twarzy niezwykłą urodę, z jakiej niegdyś słynęła matka.

– Opuściła nas – wyszeptał zupełnie niepotrzebnie Phillipe, lekarz.

– Tak.

Usłyszała, że stojący za nią doktor odmawia cicho modlitwę, ale nie przyszło jej do głowy, by się przyłączyć. Patrzyła ze zdumieniem, jak zahipnotyzowana, na powoli siniejące ciało, jedyną pozostałość z istnienia, które dominowało nad jej życiem przez trzydzieści lat. Miała chęć potrząsnąć matką i obudzić ją, bo – biorąc pod uwagę temperament Valérie de la Martinières – trudno było uwierzyć w to przejście z życia do śmierci.

Nie była pewna, co powinna czuć. Choć w ostatnich tygodniach przerabiała ten moment w myślach wielokrotnie. Odwróciła wzrok od twarzy zmarłej i spojrzała w otwarte okno, na strzępiaste obłoki zawieszone niczym piankowe bezy na błękitnie nieba. Z oddali dobiegał głos skowronka zwiastującego nadejście wiosny.

Powoli wstała, rozprostowując nogi zeszytywniałe od wielu godzin nocnego czuwania, i podeszła do okna. Widok wczesnego poranka nie miał w sobie nic, co zapowiadałoby ciężar nadchodzących godzin. Natura malowała pełen świeżości obraz, delikatnie rozświetlając nowy dzień prowansalską paletą barw umbrzy, zieleni i lazuru. Emilie patrzyła na taras, ogród i falujące wzgórza otaczających dom winnic, które zdawały się ciągnąć bez końca, jak okiem sięgnąć. Ten cudowny widok nie zmienił się od wieków. Zamek de la Martinièresów był jej schronieniem w dzieciństwie, miejscem, gdzie czuła się bezpiecznie. Tutejszy spokój zapisał się trwale w każdym zakamarku jej umysłu.

A teraz ten dom należał do niej – choć Emilie nie wiedziała, czy po ekscesach finansowych matki znajdą się jeszcze jakieś środki, by go utrzymać.

– *Mademoiselle* Emilie, zostawię panią samą, by mogła się pani pożegnać – odezwał się doktor, przerywając jej rozmyślenia. – Pójdę na dół wypełnić konieczne dokumenty. Tak mi przykro – dodał, skłaniając się lekko, i wyszedł z pokoju.

Czy mnie jest przykro...?

To pytanie mimowolnie przemknęło przez myśl Emilie. Wróciła na fotel i znów usiadła, starając się wyjaśnić sobie wiele wątpliwości, jakie obudziła w niej śmierć matki. Chciała podsumować sprzeczne emocje, określić, co ostatecznie czuje. To było, rzecz jasna, niemożliwe. Jej stosunek do kobiety, która leżała teraz żałośnie nieruchoma – kompletnie niegroźna, choć niegdyś tak bardzo komplikowała jej życie – już na zawsze miał pozostać boleśnie niejednoznaczny.

Valérie dała swojej córce życie, karmiła ją, ubierała, zapewniła jej dostatek i dach nad głową. Nigdy nie biła jej ani nie maltretowała.

Tyle że po prostu nie zwracała na nią uwagi.

Valérie była – Emilie szukała odpowiedniego słowa –

niezainteresowana. Przez co ona, jej córka, stała się niewidzialna.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni matki.

– Nie dostrzegałaś mnie, *maman*... nie dostrzegałaś...

Emilie z przykrością zdawała sobie sprawę, że jej narodziny były wynikiem niechętnego poddania się wymogom, by zapewnić linii de la Martinièresów potomka. Spełnieniem obowiązku, niemającym nic wspólnego z marzeniem o macierzyństwie. A kiedy okazało się, że to raczej „potomkini”, a nie oczekiwany dziedzic, zainteresowanie Valérie jeszcze bardziej osłabło. Na ponowną ciążę było za późno – Emilie przyszła na świat w ostatnim okresie płodności matki, kiedy ta miała czterdzieści trzy lata – Valérie wróciła więc do swojego trybu życia, jako jedna z najbardziej uroczych, gościnnych i pięknych właścielek salonów w Paryżu. Narodziny Emilie i wynikająca z tego jej późniejsza obecność miały dla matki takie samo znaczenie jak wzięcie sobie kolejnego chihuahua do trójki już posiadanych piesków. Podobnie jak one Emilie była wyprowadzana ze swojego pokoju i rozpieszczana na oczach gości, kiedy mamie to pasowało. Psy przynajmniej miały na pociechę siebie nawzajem, myślała Emilie, a jej większość dzieciństwa upływała w samotności.

Nieszczególnie pomagało też to, że odziedziczyła urodę raczej de la Martinièresów niż płowowłosych słowiańskich przodków matki o delikatnych drobnych rysach. Była dzieckiem krępej budowy, o oliwkowej cerze i gęstych czarnych włosach, ścinanych co sześć tygodni na pazia. Z grubą grzywką nad ciemnymi brwiami – genetycznym prezentem od ojca, Édouarda.

– Patrząc na ciebie i czasem aż trudno mi uwierzyć, że to ja cię urodziłam! – powiedziała matka podczas jednej z rzadkich wizyt w pokoju dziecinnym, kiedy zajrzała tam przed wyjściem do opery. – Ale przynajmniej masz moje oczy.

Emilie żałowała czasami, że nie może sobie wyrwać tych gałek o ciemnoniebieskich tęczęwkach i zastąpić ich pięknymi piwnymi

oczami taty. Sądziła, że te, którymi obdarzyła ją natura, nie pasują do jej twarzy, a poza tym zawsze gdy patrzyła w lustro, widziała matkę.

Emilie zdawało się, że pozbawiona jest zupełnie talentów, które mogłaby docenić matka. Kiedy jako trzylatkę zaprowadzono ją na lekcje baletu, przekonała się, że jej ciało nie jest zdolne przyjmować wymaganych póz. Inne dziewczynki śmigały po sali jak motyle, a ona miała problemy, by poruszać się z wdziękiem. Małe, szerokie stópki lubiły stać twardo na ziemi i każda próba oderwania ich od niej kończyła się porażką. Lekcje pianina przyniosły podobną klęskę, a jeśli chodzi o śpiew, to Emilie najwyraźniej słoń na ucho nadepnął.

Ciało Emilie nie umiało się też dostosować do noszenia kobiecych kreacji, do czego zmuszała ją matka, gdy urządzała swoje słynne przyjęcia w pełnym róż ogrodzie na tyłach paryskiego domu. Chowając się gdzieś w kącie, Emilie patrzyła z podziwem na elegancką, uroczą, piękną kobietę krążącą z gracją wśród gości. Podczas licznych spotkań towarzyskich w paryskim domu i zamku w Gassin Emilie czuła się niezręcznie, nie potrafiła wykrztusić słowa. Na domiar złego nie odziedziczyła po matce łatwości nawiązywania kontaktów.

A jednak dla kogoś, kto patrzyłby z zewnątrz, miała wszystko. Bajeczne dzieciństwo – mieszkała w pięknym domu w Paryżu, pochodziła z arystokratycznego francuskiego rodu o wielowiekowych tradycjach i majątku, który przetrwał zawieruchy wojenne. O takim losie wiele innych młodych Francuzek mogło sobie co najwyżej pomarzyć.

Ale przynajmniej miała ukochanego tatę. Choć nie poświęcał jej więcej czasu niż *maman* – zaabsorbowany swoją stale rosnącą kolekcją unikatowych książek, które gromadził w zamku – to kiedy już Emilie udało się zwrócić na siebie jego uwagę, okazywał jej miłość i serce, czego tak bardzo pragnęła.

Tata miał sześćdziesiąt lat, kiedy się urodziła, a umarł, gdy skończyła czternaście. Niewiele czasu spędzili razem, lecz Emilie zdawała sobie sprawę, że przejęła dużo jego cech. Édouard był milczący i refleksyjny, wolał swoje książki i ciszę w zamku od stałego przepływu znajomych, których spraszała mama. Emilie często zastanawiała się, jak dwoje tak biegunowo różnych ludzi mogło się w sobie zakochać. A jednak Édouard zdawał się autentycznie wielbić swoją młodą żonę, nie narzekał na jej rozrzutność, choć sam żył skromniej, i był dumny z jej urody i popularności wśród śmietanki towarzyskiej Paryża.

Często, kiedy kończyło się lato i nadchodził czas powrotu Valérie z Emilie nad Sekwanę, córka błagała ojca, żeby pozwolił jej zostać.

– *Papa*, tak bardzo lubię mieszkać z tobą na wsi. W miasteczku jest szkoła... Mogłabym do niej chodzić i opiekować się tobą, bo przecież musisz czuć się tu, w zamku, bardzo samotny.

Édouard gładził ją czule po policzku, kręcił jednak głową.

– Nie, malutka. Kocham cię, ale musisz wracać do Paryża, bo tylko tam nauczysz się być prawdziwą damą, jak mama.

– Tato, ale ja nie chcę wracać z mamą. Chcę zostać tutaj, z tobą...

A potem, kiedy miała trzynaście lat... Emilie zamrugła, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Wciąż nie była w stanie spokojnie myśleć o tym, jak brak uwagi ze strony matki doprowadził do zaniedbania, którego konsekwencje będą ciążyć na całym jej życiu.

– Jak mogłaś nie zorientować się albo nie przejmować tym, co się ze mną dzieje? Mamo! Przecież byłam twoją córką!

Jedna z powiek Valérie lekko drgnęła. Emilie aż podskoczyła, przerażona, że matka jednak żyje i usłyszała wypowiedziane właśnie słowa. Nauczona, jak sprawdzać symptomy, położyła palce na nadgarstku matki, próbując wyczuć puls, lecz na

próżno. To, co się przed chwilą stało, było ostatnią oznaką życia, kiedy mięśnie zmarłej ostatecznie się rozluźniły.

– *Maman*, postaram się ci wybaczyć. Zrozumieć. Ale w tej chwili nie wiem, czy jestem zadowolona, czy smutna, że umarłaś.

Emilie poczuła, że zaczyna mieć problemy z nabraniem tchu, tak jakby zadziałał jakiś mechanizm obronny, by oszczędzić jej bólu wypowiedziania na głos dalszych słów. Mimo to mówiła dalej.

– Tak bardzo cię kochałam, tak bardzo chciałam cię zadowolić, zaskarbić sobie twoją miłość i uwagę... zasłużyć na miano twojej córki. Mój Boże! Robiłam wszystko!

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Byłaś moją matką!

Zszokowana własnym krzykiem odbijającym się echem po wielkiej sypialni umilkła. Popatrzyła na herb de la Martinièresów, namalowany dwieście pięćdziesiąt lat temu na zwieńczeniu łoża. Wyplówałe dziś dwa walczące dziki, obowiązkowa lilia, a niżej ledwie czytelne motto: „Zwycięstwo jest wszystkim”.

Nagle dostała dreszczy, choć w pokoju było ciepło. W zamku panowała głucha cisza. Dom niegdyś pełen życia sprawiał teraz wrażenie pustej łupiny, mieszczącej w sobie jedynie przeszłość. Emilie spojrzała na mały palec prawej dłoni, gdzie nosiła sygnet z miniaturą herbu. Była ostatnią z rodu Martinièresów.

Nagle poczuła na swoich barkach ciężar wielowiekowej historii przodków. Jakie to smutne, że wielki szlachetny ród skurczył się do jednej niezamężnej i bezdzietnej trzydziestoletniej kobiety. Rodzina przetrwała setki lat dziejowej zawieruchy, ale w ostatnim okresie, po pierwszej i drugiej wojnie światowej, pozostał tylko jej ojciec.

Przynajmniej nie będzie żadnej typowej szarpaniny o spadek. Zgodnie z anachronicznym prawem napoleońskim bracia i siostry dziedziczą majątek rodziców w równych częściach. Wiele rodzin znalazło się u progu bankructwa, kiedy któreś z dzieci

nie zgadzało się na sprzedaż majątku. Smutne, że w tym przypadku dziedziczenie w linii prostej ograniczało się do niej jednej.

Emilie westchnęła. Może będzie musiała podjąć decyzję o sprzedaży, ale pomyśli o tym później. Teraz czas na pożegnanie.

– Spoczywaj w pokoju, *maman*.

Złożyła lekki pocałunek na siniejącym czole i przeżegnała się. Podniosła się ciężko z fotela, po czym wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

## 2

### *Dwa tygodnie później*

Emilie wzięła kawę z mlekiem, croissanta i wyszła kuchennymi drzwiami na porośnięte lawendą podwórko za domem. To miejsce było najlepsze, gdy się chciało złapać nieco porannego słońca. Piękny wiosenny dzień wydawał się dość ciepły, by siedzieć na zewnątrz w bawełnianej koszulce.

W dniu pogrzebu matki w Paryżu, czterdzieści osiem godzin wcześniej, deszcz padał nieustannie przez cały czas pochówku. Później, podczas stypy – urządzonej w Ritzu zgodnie z życzeniem matki – Emilie przyjęła kondolencje od paryskiej socjety. Kobiety, przeważnie w podobnym wieku jak jej matka, były ubrane na czarno. Emilie przypominało to zlot podstarzałych wron. Skrywając przerzedzone włosy pod niemodnymi kapeluszami o przeróżnych fasonach, krążyły po sali, sącząc szampana. Ich sylwetki zrujnował wiek, a makijaż sprawiał wrażenie maski nałożonej na obwisłą skórę.

W swoich najlepszych latach były uznawane za najpiękniejsze i najbardziej wpływowe w Paryżu. Jednak czas biegł naprzód nieubłaganie i teraz ich miejsce zajęły zastępy młodszych przedsiębiorczych pań. Każda z tych kobiet czeka na śmierć, pomyślała Emilie ze ściśniętym sercem, kiedy wyszła z Ritza i

rozglądała się za taksówką, żeby wrócić do swojego mieszkania. Ze smutku wypila dużo więcej wina niż zwykle i następnego ranka obudziła się z kacem.

Ale przynajmniej najgorsze już za nią, pocieszała się teraz, popijając kawę. Przez ostatnie dwa tygodnie nie było wiele czasu, żeby się skupić na czymkolwiek poza załatwianiem formalności pogrzebowych. Emilie wiedziała, że jest winna matce przynajmniej takie pożegnanie, jakie perfekcyjnie zorganizowałyby sama Valérie. Wahała się bez końca, czy lepiej zamówić do kawy babeczki, czy ptifurki, i czy kremowe pękate róże, które tak bardzo lubiła matka, prezentują się dość majestatycznie jako dekoracja stołu. Tego typu dylematy Valérie rozwiązywała co tydzień i Emilie, chcąc nie chcąc, musiała jeszcze raz przyznać, że radziła sobie z tym z podziwu godną łatwością.

A teraz – Emilie uniosła twarz ku słońcu i poddała się jego kojącemu ciepłu – czas pomyśleć o przyszłości.

Gerard Flavier, notariusz rodziny, odpowiedzialny za kwestie prawne dotyczące nieruchomości de la Martinièresów, był już w drodze z Paryża, aby spotkać się z nią w zamku. Dopóki nie wyjaśni jej sytuacji finansowej posiadłości, snucie jakichkolwiek planów nie ma większego sensu. Emilie wzięła miesięczny urlop w pracy, by uporać się z tym, co – jak wiedziała – będzie złożonym i czasochłonnym procesem. Żałowała, że nie ma rodzeństwa, które dzieliłoby z nią ten ciężar. Sprawy prawne i finansowe nigdy nie były jej mocną stroną. Przerazała ją skala odpowiedzialności, jaka spoczęła na jej barkach.

Poczuła miękkie futerko przy swojej gołej kostce, spojrzała w dół i zobaczyła Frou-Frou, ostatnią z suczek chihuahua matki, popatrującą na nią żałośnie. Podniosła starą psinę i posadziła sobie na kolanie, gładząc jej uszy.

– Wygląda na to, że zostaliśmy same, tylko ty i ja, Frou –

wyszeptała. – Będziemy opiekować się sobą nawzajem, dobrze?

Na widok poważnego wyrazu wół ślepych oczu Frou-Frou Emilie się uśmiechnęła. Nie miała pojęcia, jak zajmie się psem w przyszłości. Choć marzyła, że kiedyś otoczy się zwierzakami, malutkie mieszkanko w dzielnicy Marais i długie godziny pracy nie sprzyjały przyspieszeniu psa, który dotąd miał luksusowe warunki pod względem emocjonalnym i materialnym.

A jednak zajmowanie się zwierzętami było codziennym zadaniem Emilie. Z poświęceniem leczyła swoich bezbronnych pacjentów, którzy nie umieli powiedzieć jej, jak się czują ani gdzie boli.

– To smutne, że moja córka najwyraźniej woli towarzystwo zwierząt niż ludzi...

Te słowa dobrze podsumowują stosunek Valérie do życia, jakie wybrała Emilie. Kiedy pierwszy raz córka oznajmiła, że idzie na studia i zrobi dyplom z weterynarii, Valérie wydeła usta z niesmakiem.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz spędzić życie na rozcinaniu brzuchów zwierzaków i zagłębieniu w ich wnętrzności.

– Mamo, to tylko się z tym łączy, ale nie dlatego wybieram tę specjalność. Kocham zwierzęta, pragnę im pomagać – odparowała na swoją obronę.

– Jeśli już koniecznie chcesz pracować, czemu nie pomyślisz o modzie? Mam przyjaciółkę dziennikarkę w „Marie Claire”. Na pewno znalazłaby ci jakieś miłe zajęcie. Oczywiście, kiedy wyjdiesz za mąż, zrezygnujesz z etatu. Zostaniesz żoną i to będzie twoje życie.

Choć Emilie nie miała pretensji do matki o to, że dla niej czasy się nie zmieniły, marzyło jej się, żeby była dumna z jej osiągnięć. Ukończyła studia jako najlepsza na roku i natychmiast przyjęto ją na staż w znanej paryskiej klinice.

– Może *maman* miała rację, Frou – powiedziała z

westchnieniem. – Może wolę zwierzęta od ludzi.

Usłyszała chrzęst żwiru pod kołami, postawiła Frou-Frou na ziemi i poszła na front domu powitać Gerarda.

– Jak się masz, Emilie?

Gerard ucałował ją w oba policzki.

– Dobrze, dziękuję – odparła. – Jak podróż?

– Przyleciałem do Nicei, a tam wynająłem samochód, żeby się tu dostać – wyjaśnił Gerard, kiedy weszli do domu i zatrzymali się w ogromnym holu. Okiennice były zamknięte, wnętrze tonęło w mroku. – Z przyjemnością uciekłem z Paryża, żeby odwiedzić jedno z moich ulubionych miejsc we Francji. Wiosna w Var jest zawsze taka piękna.

– Też myślałam, że lepiej, abyśmy spotkali się tu, w zamku – przyznała Emilie. – Dokumenty moich rodziców są w biurku w bibliotece. Pewnie będziesz musiał do nich zajrzeć.

– Tak.

Gerard ruszył po posadzce wyłożonej sfatygowanymi marmurowymi płytami i przyjrzał się plamie wilgoci na suficie.

– Zamek wymaga renowacji, prawda? – Westchnął. – Starzeje się, jak my wszyscy.

– Przejdziemy do kuchni? – zaproponowała Emilie. – Zaparzyłam kawę.

– Dokładnie tego mi trzeba – rzekł z uśmiechem i poszedł za nią korytarzem prowadzącym na tyły domu.

– Siadaj, proszę – powiedziała Emilie, kiedy już znaleźli się w kuchni, wskazując krzesło przy długim dębowym stole i podchodząc do kuchenki, by zagotować trochę wody.

– Luksusów to tu nie ma. – Gerard rozejrzał się po nielicznych sprzętach z gospodarczego wyposażenia domu.

– Rzeczywiście – potwierdziła Emilie. – Ale w końcu kuchnia używana była jedynie przez służbę, która szykowała jedzenie dla naszej rodziny i gości. Wątpię, czy moja matka kiedykolwiek

włożyła ręce do zlewu.

– Kto opiekuje się teraz zamkiem? – zapytał Gerard.

– Margaux Duvall, gospodyni, która pracuje tu od piętnastu lat. Przychodzi z miasteczka każdego popołudnia. *Maman* zwolniła resztę służby, gdy umarł ojciec, i nie przyjeżdżała już do Var co lato. Sądzę, że wołała spędzać wakacje na wynajmowanym przez siebie jachcie.

– Twoja matka zdecydowanie lubiła wydawać pieniądze – powiedział Gerard, kiedy Emilie stawiała przed nim filiżankę kawy. – Na to, na czym jej zależało – dodał.

– Czyli nie na ten dom – wpadła mu w słowo, nie owijając w bawełnę.

– Rzeczywiście – zgodził się Gerard. – Z tego, co się zorientowałem, chyba wołała dom mody Chanel.

– *Maman* uwielbiała *haute couture*, wiem. – Emilie usiadła naprzeciw niego ze swoją kawą. – Nawet w zeszłym roku, kiedy tak źle się już czuła, nie opuściła ani jednego pokazu mody.

– Valérie naprawdę była wyjątkowa. Wszyscy ją znali. Jej odejściu poświęcono wiele szpalt w naszych gazetach – powiedział. – Nic dziwnego jednak. De la Martinièresowie to jeden z najbardziej szacownych rodów Francji.

– Tak. – Emilie uśmiechnęła się blado. – Też widziałam gazety. Pisano, że odziedziczę fortunę.

– To prawda, że twoja rodzina była niegdyś bajecznie bogata. Niestety, Emilie, czasy się zmieniły. Sława rodu trwa, ale majątek się rozpułnął.

– Tak właśnie myślałam.

Emilie wcale nie była zaskoczona rewelacjami prawnika.

– Pewnie zdawałaś sobie sprawę, że z twojego papy żaden biznesmen – ciągnął Gerard. – Był intelektualistą, naukowcem, który nie interesował się zbyt wiele pieniędzmi. Choć często rozmawiałem z nim o inwestowaniu, starałem się przekonać,

żeby pomyślał o przyszłości, puszczał moje słowa mimo uszu. Dwadzieścia lat temu nie miało to wielkiego znaczenia. Pieniędzy było aż nadto. Ale ten brak uwagi ze strony ojca i zamiłowanie do wystawnego życia matki spowodowały, że z majątku pozostało niewiele.

Gerard westchnął.

– Przykro mi, że jestem posłańcem złej nowiny.

– Spodziewałam się tego i nie ma to dla mnie większego znaczenia – zapewniła Emilie. – Chcę tylko załatwić, co trzeba, i wrócić do swojej pracy w Paryżu.

– Obawiam się, że sytuacja nie jest tak prosta. Jak mówiłem na wstępie, nie miałem jeszcze czasu zapoznać się z wszystkim szczegółowo, ale mogę ci powiedzieć, że posiadłość jest zadłużona. Wierzycieli jest wielu. I trzeba ich spłacić jak najprędzej – wyjaśnił. – Twoja matka zdołała pożyczyć ponad dwadzieścia milionów franków pod zastaw paryskiego domu. Miała też wiele innych długów, które należy uregulować.

– Dwadzieścia milionów franków? – Emilie spojrzała na niego przerażona. – Jak to się mogło stać?

– Bardzo łatwo. Kiedy fundusze topniały, Valérie nie ograniczyła wydatków. Żyła ponad stan od wielu, wielu lat. Tylko proszę, Emilie, nie panikuj – dodał na widok wyrazu jej oczu. – Te długi łatwo da się spłacić, nie tylko dzięki sprzedaży samego domu w Paryżu, co powinno dać około siedemdziesięciu milionów franków, ale i rzeczy twojej matki. Jak na przykład fantastyczna biżuteria, którą trzymała w skrytce bankowej, czy wiele obrazów i cennych dzieł sztuki w domu. Bieda ci nie grozi, w żadnym wypadku, możesz mi wierzyć. Tyle że trzeba podjąć szybkie działania, by zapobiec pogorszeniu sytuacji. I należy zdecydować, co dalej.

– No, tak – powiedziała wolno Emilie. – Wybacz, Gerardzie. Jestem podobna do ojca. Niespecjalnie interesuję się

zarządzaniem finansami. Nie mam w tym doświadczenia.

– Rozumiem to doskonale. Rodzice zostawili cię z ciężkim zadaniem, które spoczywa jedynie na twoich barkach. Chociaż – Gerard uniósł nieco brwi – zdumiewające, jak wielu krewnych nagle zyskałaś.

– Co masz na myśli?

– O, nie przejmuj się, w takich sytuacjach zwykle zlatują się sępy. Dostałem ponad dwadzieścia listów od ludzi, którzy twierdzą, że są w jakiś sposób powiązani z de la Martinièresami. Czworo utrzymuje, że są twoim przyrodnim rodzeństwem, podobno twój ojciec spłodził ich poza związkiem małżeńskim, jest też dwoje kuzynów i wuj. A kobieta, która pracowała w waszym paryskim domu w latach sześćdziesiątych, przysięga, że matka obiecała jej po swojej śmierci Picassa.

Gerard uśmiechnął się.

– Zwyczajne sprawy, ale, niestety, wszystkie takie żądania, zgodnie z francuskim prawem, muszą zostać wzięte pod uwagę.

– Nie sądzisz chyba, że są uzasadnione? – Emilie zrobiła wielkie oczy.

– Ależ nie, oczywiście, że nie. I na pocieszenie dodam, że takie rzeczy towarzyszyły sprawom wszystkich znanych zmarłych, z jakimi miałem do czynienia. – Wzruszył ramionami. – Zostaw to mnie i nie przejmuj się. Wolałbym, żebyś skoncentrowała się na tym, co chcesz zrobić z zamkiem. Jak mówiłem, długi twojej matki mogą zostać łatwo spłacone po sprzedaży paryskiego domu i tego, co się w nim znajduje. Nadal jednak pozostaje sprawa tej pięknej posiadłości, która, z tego co widzę, jest w złym stanie i wymaga remontu. Cokolwiek postanowisz, nadal będziesz bogata, ale czy chcesz sprzedać zamek, czy nie?

Emilie zapatrzyła się w dal i westchnęła.

– Szczerze mówiąc, Gerardzie, żałuję, że muszę podejmować tę decyzję. Wolałabym, żeby zrobił to za mnie ktoś inny. A co

z tutejszą winnicą? Czy przynosi jakieś zyski? – spytała.

– To kolejna rzecz, którą muszę dla ciebie sprawdzić – odparł notariusz. – Jeśli postanowisz sprzedać zamek, może być kłopot z winnicą.

– Sprzedać zamek... – powtórzyła jego słowa. Wypowiedzenie ich na głos uświadomiło jej jeszcze mocniej ogrom odpowiedzialności, jaka na niej spoczywa. – Ten dom był w naszej rodzinie dwieście pięćdziesiąt lat. A teraz ja mam podjąć decyzję. Prawda jest taka – westchnęła – że nie mam pojęcia, co powinnam zrobić.

– Doskonale cię rozumiem. Jak mówiłem, to trudne, że zostałaś z tym sama. – Gerard pokiwał głową ze współczuciem. – Cóż mogę powiedzieć? Nie zawsze mamy wybór co do sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Postaram się pomóc ci, na ile tylko potrafię, Emilie, wiem, że tego oczekiwały po mnie twój ojciec. Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę się odświeżyć, a potem może przejdziemy się do winnicy i porozmawiamy na miejscu z zarządcą?

– Dobrze – odparła Emilie. – Otworzyłam okiennice w sypialni po lewej stronie głównych schodów. Stamtąd jest jeden z najpiękniejszych widoków w domu. Chcesz, żebym cię zaprowadziła?

– Nie, dziękuję. Jak wiesz, zatrzymałem się tutaj już wiele razy. Na pewno trafię.

Gerard wstał, skłonił się lekko i wyszedł z kuchni, by wejść na piętro do przeznaczonego dla niego pokoju. Zatrzymał się w połowie schodów i zapatrzył w pokryty kurzem, spłowiały portret przodka de la Martinièresów. Tyle wielkich francuskich rodów i historii z nimi związanych odchodziło w przeszłość, pozostawiając po sobie ledwie widoczny ślad na piasku. Zastanawiał się, jak by się czuł wielmożny Giles de la Martinières z portretu – wojskowy, arystokrata i, jak mówiono, kochanek

Marii Antoniny – gdyby wiedział, że przyszłość jego rodu spoczywa na wątłych barkach jednej młodej kobiety. A w dodatku takiej, która zawsze wydawała się Gerardowi dziwna.

Podczas wielu swoich wizyt u de la Martinièresów obserwował dziewczynkę, której rezerwa nie pozwalała odpowiadać na serdeczności z jego strony czy też ze strony innych osób. To dziecko wydawało się strasznie wycofane, zamyślane, niemal nieuprzejme w swoim ignorowaniu przyjacielskich gestów. Jako notariusz Gerard uważał, że jego praca obejmuje nie tylko techniczny proces podliczania liczb, lecz także zdolność odczytywania emocji klientów.

Emilie de la Martinières to była kompletna niewiadoma.

Przyglądał się jej podczas pogrzebu matki. Twarz młodej kobiety nie zdradzała żadnych uczuć. Trzeba przyznać, że jako dorosła stała się o wiele bardziej atrakcyjna, niż była jako dziecko. Jednak nawet teraz, na dole, choć straciła drugie z rodziców i musiała wziąć na siebie odpowiedzialność dramatycznych decyzji, nie wydała się Gerardowi bezbronną, budzącą instynkty opiekuńcze istotą. Życie, jakie prowadziła w Paryżu, było tak różne od tego, jakie wiedli jej przodkowie, jak tylko można to sobie wyobrazić. Nie robiła nic specjalnego. A przecież wszystko, co dotyczyło jej rodziców i historii rodziny, było nadzwyczajne.

Gerard ruszył dalej zirytowany, że nie potrafi odczytać reakcji Emilie. Czegoś tu brakowało... Nie potrafił rozszyfrować jej tajemnicy. I nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

• • •

Kiedy Emilie wstała i wstawiła filiżanki do zlewu, drzwi kuchni się otworzyły i weszła Margaux, gospodyni. Rozpromieniła się na widok Emilie.

– *Mademoiselle* Emilie! – Margaux rzuciła się ją uściskać. – Nie

wiedziałam, że się tu panienka wybiera! Trzeba było uprzedzić. Wszystko bym przygotowała.

– Przyjechałam z Paryża późno wieczorem – tłumaczyła się Emilie. – Miło cię widzieć, Margaux.

Kobieta odsunęła się i popatrzyła ze współczuciem na Emilie.

– Jak się panienka czuje?

– Jakoś... daję radę – odparła szczerze Emilie. Na widok gospodyni, która zajmowała się nią, kiedy była dziewczynką i spędzała w zamku lato, ścisnęło ją w gardle.

– Taka panienka chuda. Czy panienka w ogóle coś je? – Margaux taksowała ją uważnym spojrzeniem.

– Pewnie, że jem, Margaux! Poza tym nie ma obawy, nigdy nie będę jak trzcinka. – Emilie uśmiechnęła się blado, przeciągając dłońmi po swojej sylwetce.

– Ma panienka śliczną figurę, niech panienka poczeka, aż będzie taka jak ja! – Margaux zachichotała cicho, mając na myśli, że ona to dopiero jest pulchna.

Emilie popatrzyła na bladoniebieskie oczy i poprzetykane teraz siwizną blond włosy. Pamiętała Margaux sprzed piętnastu lat jako piękną kobietę i zrobiło się jej jeszcze smutniej, że bezlitosny czas nie oszczędza na swojej drodze niczego.

Drzwi kuchni znów stanęły otworem. Pojawił się w nich chłopiec. Szczupły, o wielkich niebieskich oczach swojej matki, które dominowały w jego drobnej twarzy. Spojrzał zaskoczony na Emilie, a potem nerwowo zwrócił się do Margaux:

– *Maman*? Może przeszkadzam?

– Czy nie ma panienka nic przeciw temu, żebym zabierała ze sobą Antona, kiedy przychodzę do pracy w zamku? Ma przerwę wielkanocną w szkole, a nie lubię zostawiać go samego w domu. Zwykle siedzi sobie cicho z książką.

– Ależ proszę bardzo, to żaden problem – odparła Emilie i uśmiechnęła się do chłopca, by poczuł się pewniej. Przed ośmioma

laty Margaux straciła męża w wypadku samochodowym. Od tej pory sama dzielnie wychowywała syna. – Chyba jest tu dość miejsca dla nas wszystkich, nie sądzisz?

– To prawda, *mademoiselle* Emilie. Dziękuję – powiedział z ulgą chłopiec, podchodząc do matki.

– Gerard Flavier, nasz notariusz, jest na górze. Zostanie na noc, Margaux – dodała Emilie. – Idziemy do winnicy zobaczyć się z Jeanem i Jacques'em.

– To przygotuję sypialnię, kiedy wyjdziecie. Czy ugotować coś na kolację?

– Nie, dziękuję, pojedziemy potem zjeść coś do miasteczka – odparła Emilie.

– Przysłali jakieś rachunki. Mam je panience przekazać? – spytała wyraźnie zakłopotana Margaux.

– Oczywiście. – Emilie westchnęła. – Kto inny miałby je teraz płacić?

– No tak. Przykro mi, *mademoiselle*. Musi być panience ciężko samej. Dobrze wiem, jak to jest – powiedziała ze współczuciem Margaux.

– Tak, dziękuję. Do zobaczenia, Margaux. – Emilie skinęła głową matce i synowi i wyszła z kuchni poszukać Gerarda.

• • •

Tego popołudnia wybrała się z nim do winnicy. To było niewielkie przedsiębiorstwo – dziesięć hektarów uprawy – produkujące dwanaście tysięcy butelek wina rocznie, różowego, czerwonego i białego, które sprzedawano głównie w lokalnych sklepach, restauracjach i hotelach.

W piwnicy było ciemno i chłodno, powietrze przesycił zapach fermentującego wina z ogromnych rosyjskich beczek dębowych stojących w rzędach pod ścianami.

Jean Benoit, zarządzający piwnicą, wstał zza biurka, kiedy

weszli.

– *Mademoiselle* Emilie! Jak miło cię widzieć! – Jean ucałował ją serdecznie w oba policzki. – Tato, zobacz, kto przyszedł!

Jacques Benoit, zreumatyzmowany prawie dziewięćdziesięcioletni staruszek, nadal codziennie siadał przy stole w piwnicy, by pracownicy zawijać każdą butelkę w fioletową bibułkę. Teraz podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– *Mademoiselle* Emilie! Jak się masz?

– W porządku, dziękuję, Jacques. A ty?

– A, już nie dla mnie polowania na dziki, na które zasadzaliśmy się z twoim tatą na wzgórzach. – Zachichotał. – Ale nadal co świt stwierdzam, że jeszcze dycham, kiedy się budzę.

Emilie przyjemnie było, że starzy znajomi witają ją tak ciepło i serdecznie. Jej ojciec bardzo przyjaźnił się z Jacques'em, a Emilie często jeździła rowerem na plażę, niedaleko, do Gigaro, popływać z Jeanem. Była od niego o osiem lat młodsza, więc wydawał jej się bardzo dorosły. Wyobrażała sobie czasem, że to starszy brat. Jean zawsze był wobec niej bardzo opiekuńczy i miły. Wcześniej stracił matkę, Francescę. Jacques sam starał się wychować go jak najlepiej.

Zarówno ojciec, jak i syn, podobnie jak ich przodkowie przed nimi, dorastali w domu przy piwnicach. Teraz winnicą rządził Jean. Przejął obowiązki ojca, kiedy tylko ten upewnił się, że Jean poznał jego specjalne metody mieszania i fermentowania winogron, które dojrzewały na otaczających ich wzgórzach.

Emilie zdała sobie sprawę, że stojący za nią Gerard musi czuć się niezręcznie. Dała spokój wspomnieniom i przedstawiła go.

– Gerard Flavier, nasz rodzinny notariusz.

– Chyba spotkaliśmy się już, *monsieur*, wiele lat temu – powiedział Jacques, wyciągając do niego drżącą dłoń.

– Tak. A kiedy jestem w Paryżu, nadal mogę delektować się subtelnym smakiem wina, jakie tu pan wytwarza – rzucił Gerard

z uśmiechem.

– Bardzo pan uprzejmy – powiedział Jacques – ale sędzę, że mój syn zdecydowanie przewyższa mnie artyzmem, jeśli chodzi o produkcję prowansalskiego *rosé*.

– Podejrzewam, panie Flavier, że przyszedł pan tu raczej sprawdzić sytuację finansową i wyniki naszej winnicy, a nie jakość naszego produktu? – Jean był wyraźnie zaniepokojony.

– Na pewno chciałbym zorientować się, na ile interes jest opłacalny. To potrzebne do moich analiz – potwierdził Gerard.

– Obawiam się, że *mademoiselle* Emilie musi podjąć jakieś decyzje.

– No cóż – odezwała się Emilie – chyba teraz nic tu po mnie, przejdę się po winnicach.

Skinęła głową trzem mężczyznom i szybko wyszła.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, uświadomiła sobie, że jej sytuacja jest jeszcze bardziej kłopotliwa, niż wcześniej myślała. Decyzje, jakie musi podjąć, mogą zagrozić rodzinie Benoit utratą źródła utrzymania. Ich sposób życia nie zmieniał się od setek lat. Widziała, że Jean szczególnie się niepokoi, bo zdaje sobie sprawę z konsekwencji, w razie gdyby sprzedała zamek. Nowy właściciel może zatrudnić własnego zarządcę, a Jean i Jacques będą zmuszeni opuścić swój dom. Trudno jej było to sobie nawet wyobrazić, bo obaj mężczyźni zdawali się zrosnąć z glebą, na której teraz stała.

Słońce już pomału zniżało się na niebie, gdy Emilie szła po kamienistej ziemi pomiędzy rzędami delikatnych winorośli. W najbliższych tygodniach bujnie się rozrosną, by wydać pękate, słodkie owoce, które zostaną zebrane w końcu lata, żeby wyprodukować kolejny rocznik.

Odwróciła się, spojrzała na zamek, oddalony o trzysta metrów, i westchnęła ze smutkiem. Jego blade, porośnięte bluszczem mury, okiennice pomalowane na tradycyjny jasnoniebieski kolor i obramowanie z wysokich cyprysów rosnących po obu stronach

rysowały się miękko w łagodnym świetle nadchodzącego zachodu. Zaprojektowana z prostotą, choć elegancko, by pasować do wiejskiego krajobrazu, budowla była idealnym odbiciem podupadłego, ale szlacheckiego rodu, do którego należała.

I teraz poza nią i zamkiem nic z niego nie pozostało...

Emilie ogarnęła nagle czułość dla tego domu. On też został osierocony. I tak jak w jej przypadku ignorowano jego najbardziej podstawowe potrzeby, a mimo to zachowywał z wdziękiem swoją godność – miała dziwne wrażenie, że są jak dwie bratnie dusze.

– Jak zdołam dać ci, czego potrzebujesz? – szepnęła do zamku. – Co ja z tobą pocznę? Mam życie gdzie indziej, ja...

Westchnęła i usłyszała, że ktoś ją woła.

Szedł do niej Gerard. Zatrzymał się tuż obok i powędrawał spojrzeniem za jej wzrokiem, w kierunku zamku.

– Jest piękny, prawda? – powiedział.

– Tak. Ale nie mam pojęcia, co powinnam z nim zrobić.

– Wracajmy. Powiem ci, co o tym myślę – zaproponował. – Może to ci trochę rozjaśni w głowie, a może nie.

– Dziękuję.

• • •

Dwadzieścia minut później, kiedy słońce ostatecznie zniknęło za wzgórzem, na którym ulokowało się średniowieczne miasteczko Gassin, Emilie siedziała z Gerardem i słuchała, co ma jej do powiedzenia.

– Winnica daje mniej, niżby mogła. Zarówno pod względem produkcji, jak i zysku. Na rynkach światowych w ostatnich kilku latach nastąpił gwałtowny wzrost sprzedaży różowych win. Nie traktuje się już ich jak ubogich krewnych białych i czerwonych siostr i braci. Jean spodziewa się dobrych zbiorów, jeśli tylko pogoda w najbliższych tygodniach dopisze. Problem w tym, Emilie – tłumaczył Gerard – że winnica była zawsze dla de la

Martinièresów czymś w rodzaju hobby.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – przyznała Emilie.

– Jean, który, nawiasem mówiąc, zrobił na mnie niezwykle pozytywne wrażenie, mówi, że od śmierci twojego ojca szesnaście lat temu w winnicę nic nie inwestowano. Oczywiście, została ona założona, by zapewniać domowe wino dla samego zamku. W czasach świetności, kiedy twoi przodkowie prowadzili tu życie towarzyskie w dawnym wielkim stylu, wypijali większość wina sami ze swoimi gośćmi. Teraz, rzecz jasna, wszystko jest inaczej, ale winnica nadal działa tak, jak sto lat temu.

Gerard popatrzył na Emilie, by odczytać jej reakcję, ale na próżno. Ciągnął więc:

– Winnicy potrzebny jest zastrzyk pieniędzy, by wydobyć jej potencjał. Jean mówi, na przykład, że jest dość ziemi, by podwoić zasięg uprawy. Niezbędne są też pewne nowoczesne urządzenia, aby iść z duchem czasu i osiągnąć, jak wierzy Jean, znaczne zyski. Pytanie – podsumował Gerard – czy chcesz zatrzymać posiadłość. Zamek wymaga renowacji, winnica unowocześnienia, a obu tym projektom musiałabyś poświęcić wiele czasu.

Emilie wsłuchiwała się w ciszę. Ani śladu wiatru. Kojąca atmosfera otuliła ją niczym szal. Po raz pierwszy od śmierci matki poczuła spokój. I właśnie dlatego nie miała ochoty podejmować decyzji.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie do tej pory zrobiłeś, Gerardzie. Ale nie sądzę, bym mogła już teraz dać ci jakąś odpowiedź – powiedziała. – Gdybyś spytał dwa tygodnie temu, stwierdziłabym kategorycznie, że mam zamiar sprzedać. Ale teraz...

– Rozumiem. – Gerard skinął głową. – Nie mogę doradzać ci nic w sferze sentymentów, jedynie finansów. Może pocieszy cię wiadomość, że jeśli sprzedasz dom w Paryżu, jego zawartość i biżuterię matki, to moim zdaniem wystarczy ci nie tylko na odnowienie zamku, ale i na dostatnie życie. No i jest jeszcze

tutejsza biblioteka – dodał. – Twój tata może nie wkładał energii w rozbudowę żadnego ze swoich domów, ale pozostawił po sobie dziedzictwo, które tu się mieści. Znacząco wzbogacił wspaniałą kolekcję rzadkich książek swojego ojca. Z jego katalogów wynika, że podwoił zbiory. Druki antykwaryczne to nie moja specjalność, domyślałam się jednak, że te woluminy są niezwykle cenne.

– Nigdy się ich nie pozbędę – odparła zdecydowanie Emilie, sama zaskoczona swoją stanowczością. – To było dzieło życia mojego ojca. Spędziłam z nim w tej bibliotece wiele godzin jako dziecko.

– Oczywiście, i nie masz potrzeby do niczego się zmuszać. Jeśli jednak nie zdecydujesz się zatrzymać zamku, będziesz musiała znaleźć sobie coś większego od twojego paryskiego mieszkanka, by pomieścić kolekcję. – Uśmiechnął się kwaśno. – Teraz muszę coś zjeść. Wybierzesz się ze mną do miasteczka na kolację? Wyjeżdżam jutro, wcześniej rano, a powinienem, jeśli pozwolisz, przejrzeć jeszcze zawartość biurka twojego taty, by zgromadzić wszystkie dokumenty dotyczące finansów.

– Naturalnie – zgodziła się Emilie.

– Najpierw muszę wykonać kilka telefonów – powiedział przepraszająco – ale będę gotów za pół godziny, spotkajmy się na dole.

Emilie patrzyła, jak Gerard wstaje od stołu i wchodzi do domu. Czuła się niezręcznie w jego towarzystwie, choć znała go całe życie. Kiedy była dzieckiem, odnosiła się do niego jak do znajomego rodziców, a teraz, po śmierci obojga, musiała rozmawiać z nim bezpośrednio, co stanowiło dla niej nowość i krępowało ją.

Kiedy powędrowała do środka, uświadomiła sobie, że ma wrażenie, jakby Gerard traktował ją protekcyjnie, choć rozumiała, że on tylko stara się pomóc. Jednak chwilami w jego oczach widziała coś, co mogła odczytać jedynie jako urazę. Może

Gerard sądzi – i kto by go za to winił – że nie jest na tyle utalentowana, by podołać obowiązkom, jakie spoczywają na ostatniej z wielkiego historycznego rodu de la Martinièresów. Emilie z przykrością zdawała sobie sprawę, że nie ma w niej nic ze świetności przodków. Urodziła się w niezwyklej rodzinie, a marzyła wyłącznie o jednym – żeby wydawać się zwyczajną.